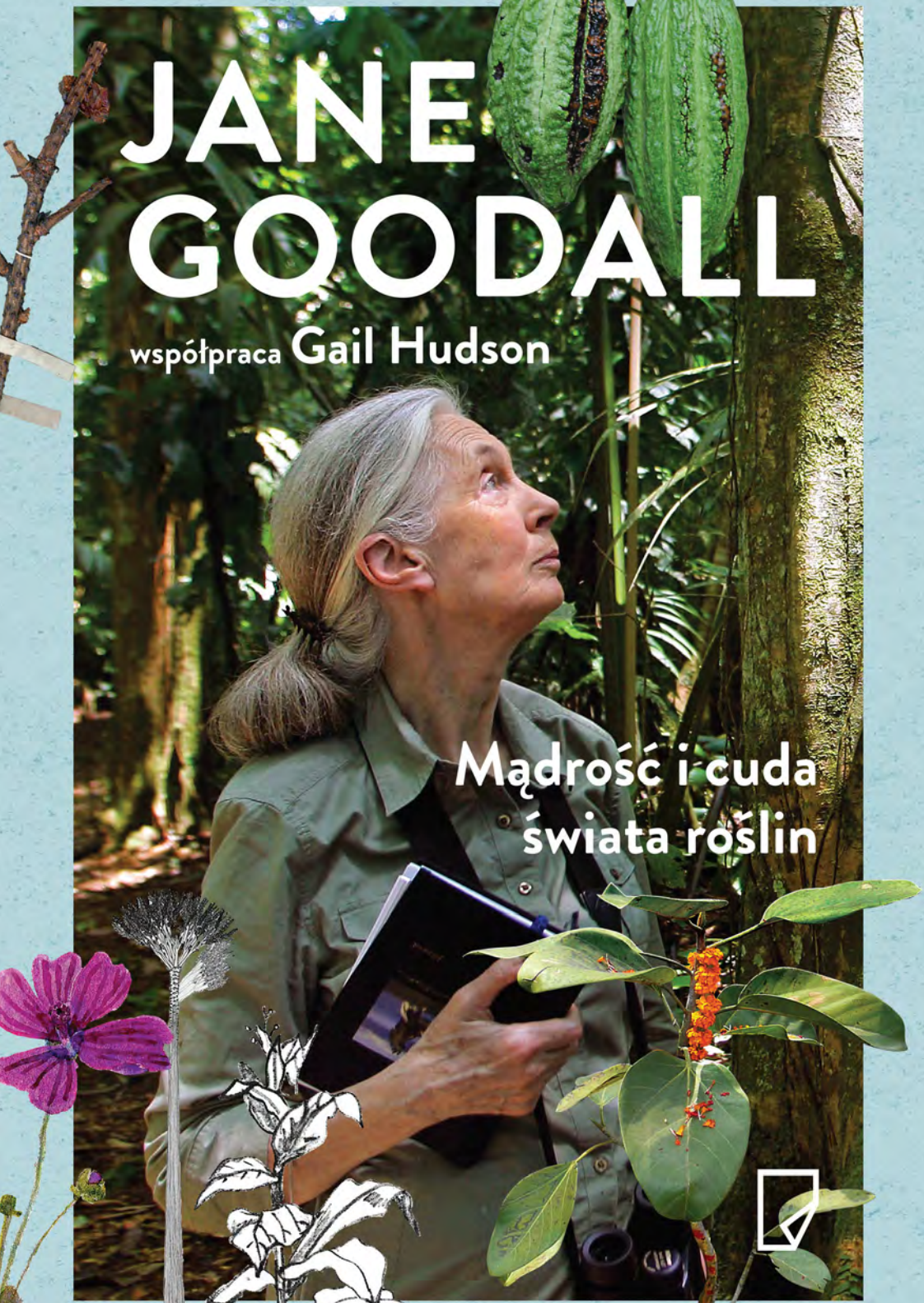


JANE GOODALL

współpraca Gail Hudson

Mądrość i cuda
świata roślin



I

Miłość do natury



To ja, mniej więcej trzyletnia, gotowa
na wyprawę do lasu.

„Jane Goodall napisała książkę o roślinach? Na pewno nie – przecież ona jest od szympanсів w Afryce”. Już słyszę te uwagi. W istocie słyszałam je przez kilka ostatnich lat, kiedy gromadziłam materiały do tej książki. Oczywiście jestem najbardziej znana – zwłaszcza dzięki artykułom w „National Geographic” oraz filmom przyrodniczym – z moich badań nad szympanсами w Gombe. W 2010 roku świętowaliśmy pięćdziesięciolecie prowadzonych tam prac. Ale bez roślin nie byłoby szympanсів – ani też ludzi, jeśli już o tym mowa. I być może nigdy w życiu nie spotkałabym szympansa, gdybym jako dziecko nie pasjonowała się opowieściami o dzikich obszarach naszej planety, a zwłaszcza o afrykańskiej dżungli.

Kiedy piszę te słowa, z okna mojego domu w Bournemouth w Anglii widzę drzewa, po których łąziłam jako dziecko. Usadowiona wśród gałęzi jednego z nich, buka, czytałam o doktorze Dolittle i o Tarzanie, marząc o tym, że sama kiedyś zamieszkałam w lesie.

Gdy w Europie wybuchła wojna, mój ojciec wyruszył, żeby walczyć o swój kraj przeciwko Hitlerowi i nazistowskiej pladze. Wtedy właśnie wraz z siostrą i matką zamieszkałyśmy u jej dwóch sióstr, Olly i Audrey, i naszej babci – nazywanej przez wszystkich Dany (ponieważ gdy byłam mała, nie umiałam powiedzieć *granny*, babcia), w tym zbudowanym w 1872 roku wiktoriańskim domu z czerwonej cegły, o ogromnych, pionowo otwieranych oknach i wysokich sufitach. W domu zwanym The Birches, Brzozy.

Pieniędzy było mało – poza tym podczas wojny żywność racjonowano, trzeba było zaciskać pasa i tak dalej. Miałyśmy jednak wielki ogród (czy też podwórze) z trawnikiem, który uparcie zarastał mchem, i wieloma drzewami. Był tam mój buk, a obok rosły trzy wspaniałe brzozy o gładkich srebrzystych pniach i wdzięcznych gałązkach. Była też jarzębina, która jesienią oblekała się w piękne czerwone korale, i dwa kasztany jadalne – jeden co roku rodził tak maleńkie owoce, że właściwie nie warto było otwierać kolczastych łupinek, natomiast drugi, który nazywaliśmy Nooky, został okaleczony. Górną połowę jego pnia i gałęzi obcięto, tak że został z niego trochę ponadsześciometrowy pniak. Z tego kikuta wyrastały jednak liczne gałęzie, które wyciągały się do nieba na wysokość kilku metrów, jakby chcąc zrekompensować brakujący kawałek pnia. Nooky nigdy nie kwitł, nie mówiąc o rodzeniu kasztanów.

Ogród otaczał wysoki żywopłot z ligustru i ostrokrzewu. Nie był to ogród słoneczny, ponieważ ocieniały go dwie wysokie jodły i pięć sosen, wszędzie rosły też rododendrony i bluszcz. Chociaż więc w okresie wojny Danny i Olly bardzo się starały wyhodować tam warzywa, z powodu cienia i piaszczystego gruntu (z domu jest zaledwie dziesięć minut nad ocean) oraz zakwaszenia gleby przez rododendrony i sosny udawały się tam tylko fasola oraz pietruszka i mięta Danny.

Coś w naszym ogrodzie jednak rosło. Przez cały rok, oprócz najzimniejszych miesięcy, trawnik był pełen stokrotek. Wszędzie rosły też mlecze – których z powodu długasných korzeni nie dało się wykopać. Każdej wiosny wypatrywałyśmy przebiśniegów, przepychających się przez wciąż zmrożoną ziemię. Po nich pojawiały się krokusy, a potem, gdy ziemia nieco się nagrzała, pierwiosnki, naparstnice, hiacyntowce, jaskry oraz, jak u Wordswortha, „tłum tańczących żonkili”. Pąki na drzewach nabrzmiewały i pękały, wypuszczając maleńkie listki. Później otwierały się wspaniałe białe i różowawo-czerwone kwiaty głogu, jaskrawożółte złotokapu i fioletowe bzu. A potem, co najbardziej lubiłam, konwalie z ich

odurzającym zapachem, który jeszcze dziś budzi we mnie żywe wspomnienia tamtych dni dzieciństwa.

Później, gdy wiosna przechodziła w lato, zaczynały kwitnąć róże Olly, jedna po drugiej, a także azalia, rosnąca obok jej ukochanego rabarbaru, oraz wyjątkowe ciemnoczerwone peonie Danny, otoczone przez cenną fasolę. Zasilane krążącymi sokami liście rozwijały się w pełni, by każdego dnia zmieniać światło słoneczne w pożywienie dla drzewa czy krzewu, na którym wyrosły.

Moją miłość do roślin i drzew podsycali długie wędrówki z psem Rustym po dzikich klifach wznoszących się nad piaszczystą plażą. Urwiska te przecinają wyschnięte koryta strumieni, nazywane tutaj starym francuskim słowem – *chine*. Nasz dom stoi przy Durley Chine Road. Każdej wiosny na niższych zboczach naszego wąwozu rozkwita żółta burza krzaków kolcolistu, pojawiają się tam



Rusty i ja spędzaliśmy w ogrodzie tyle czasu, ile tylko mogliśmy.

także maleńkie, słodko pachnące fiołki. Zwykle szukałam pierwszych fiołków, żeby zanieść je Olly, która je uwielbiała.

Kiedy latem zakwitają rododendrony, strome zbocza Middle Chine wyglądają wspaniale w różowawym fiolecie porastających je egzotycznych kwiatów – krzewy te rosły gęsto także na terenie naszej szkoły. Danny miała swój ulubiony rododendron, o intensywnie czerwonych kwiatach, pod oknem kuchennym.

Bardzo lubiłam jesień. Bujna zieleń lata zmieniała się w blade żółcie i złoto, naznaczone tu i ówdzie czerwienią. Liście stopniowo opadały, pokrywając ziemię jaskrawym dywanem, aż zgniły na gliniastym piasku albo zostały zmiecione z trawnika i spalone na tyłach ogrodu, gdzie w gorącym popiele piekliśmy ziemniaki.

Na klifach rosło trochę buków i brzoź, ale głównie mnóstwo sosen zasadzonych na miejscu dawnego wrzosowiska w ramach ogromnego projektu kształtowania krajobrazu, który wdrożono na początku XIX wieku. Rosły też dwa kasztany jadalne, których owoce, choć nie tak duże jak te, które zwykle się kupuje, były i tak dwa albo trzy razy większe niż z kasztana w naszym ogrodzie. Uwielbialiśmy piec je przy kominku w saloniku.

Kiedy byłam dzieckiem, wuj Eric, jedyny syn Danny, przynosił nam jabłka, a także orzechy z wielkiego starego orzecha rosnącego w jego ogrodzie. Zbieraliśmy rosnące na klifie czarne jagody, a Danny piekła jagodowo-jabłeczne placki. Robiła także wino z czarnego bzu, z kiści czarnych owoców z naszego własnego krzaka. Nie zawierało alkoholu, ale samo to, że nazywało się je winem, sprawiało, że my, dzieci, czuliśmy się jak dorośli, kiedy na Boże Narodzenie piliśmy je z prawdziwych kieliszków.

Jestem pewna, że dorastanie w tym idyllicznym domu i w otoczeniu angielskiego krajobrazu było gruntem, na którym wyrosła moja miłość do świata roślin i w ogóle przyrody. Pewnego dnia, kiedy przeglądałam pudełko z dziecięcymi skarbami przechowywane z czułością przez moją matkę, trafiłam na „Notatnik przyrodnika”, w którym dwunastoletnia Jane, z wielką dbałością o szczegóły,



Obrazek, który namalowałam jako dziecko w „Notatniku przyrodnika”. To pierwiosnek, jeden z moich ulubionych kwiatów w naszym ogrodzie.

rysowała i malowała wiele spotykanych w okolicy roślin i kwiatów. Wszystkie rysunki i akwarele zostały przeze mnie opatrzone dokładnym opisem roślin opartym na uważnej obserwacji i zapewne na wiadomościach zaczerpniętych z książek.

To nie był szkolny zeszyt. Nie robiłam tego jako zadania domowego. Po prostu uwielbiałam malować i rysować rośliny i o nich pisać. W pewnym sensie zaczęłam tę książkę sześćdziesiąt lat temu!

Oczywiście, w miarę jak rosła moja świadomość roślin – a właściwie drzew – jako odrębnych istot – dowiadywałam się coraz więcej o zwierzętach. Lubiłam zwłaszcza sowy płomykówki odzywające się czasem w nocy niesamowitymi głosami, gile o czerwonoróżowych brzuszka, a także mewy srebrzyste i mewy śmieszki, które latały nisko nad ogrodem, krzycząc i czekając, aż ktoś z nas wyjdzie i rzuci im kawałki chleba. Kosy, drozdy śpiewaki, rudziki i wiele gatunków sikorek gnieździły się w otaczającym dom wysokim spletanym żywopłocie i w gałęziach drzew. Na klifie mieszkało wtedy jeszcze kilka rudych wiewiórek, ale przybysz z zewnątrz, wiewiórka szara, szybko obejmował teren w posiadanie. Od czasu do czasu jechaliśmy autobusem do Parku Narodowego New Forest,



Z moich „Notatników przyrodnika”. Kiedy miałam mniej więcej dwanaście lat, często zbierałam kwiaty podczas spacerów z psem Rustym. Znosiłam je do domu i malowałam – nie dlatego, że było to zadanie domowe, tylko dlatego, że bardzo to lubiłam. Obrazki przedstawiają dziki ślaz (różowy kwiatek) oraz kolcolist (żółty).

do lasów przetykanych wrzosowiskami, gdzie biegały kuce rasy new forest i jelenie, a jeśli mieliśmy szczęście, mogliśmy zobaczyć lisa.

Muszę też wspomnieć o owadach. W tamtych czasach pełno było bzyczących, brzęczących, cykających owadów wszelkiego rodzaju. Za dnia widać było błyszczące furkoczące skrzydła motyli (motyle, *butterflies*, czyli dosłownie maślane muchy, z pewnością musiały się kiedyś nazywać *flutterbys*, trzepotki, dopóki jakiś średniowieczny uczony nie zamienił „f” na „b”). Wieczorem pojawiał się wysoki denerwujący brzęk komarów, a w nocy przybywały ćmy, zwabione przez białe kwiaty i nocny zapach jaśminowca oraz białego bzu, a także, niestety, przez światła domu.

Były też znienawidzone przez Olly i Danny pomrowy, śliniki i inne ślimaki. Moja siostra Judy i ja uwielbiałyśmy ślimaki i często je hodowałyśmy, żeby potem urządzać wyścigi. Wiele lat później dowiedziałam się, że niegdyś wyścigi ślimaków były ulubioną rozrywką starszych Francuzów! W naszym ogrodzie nie brakowało też nieocenionych małych pomocników, czyli dżdżownic. Dżdżownice odgrywają istotną rolę w ekosystemie, ponieważ zjadają glebę i ją napowietrzają. Kiedy miałam zaledwie półtora roku, któregoś razu wzięłam do łóżka całą ich garść. Moja mądra mama, zamiast mnie skarcić, powiedziała mi, że dżdżownice umrą, bo potrzebują ziemi, więc razem odniosłyśmy je z powrotem na rabatkę.

W naszym ogrodzie były też pszczoły, absolutnie niezbędne dla ogrodnika owady zapylające rośliny. Przyglądałam im się godzinami – patrzyłam, jak latają pracowicie od kwiatka do kwiatka, a „koszyczki” na ich nóżkach stopniowo napełniają się jasnożółtym pyłkiem, kiedy wykonują swoją jakże ważną pracę zapylania. Duże włochate trzmiele, całe czarne oprócz dwóch jasnożółtych pasków na odwłoku, przelatujące chwiejnie z kwiatka na kwiatek, wydawały się niemal ospałe w porównaniu z pszczołami. Fascynowało mnie, jak wpychają się do kwiatów naparstnicy, które całe się trzęsły, gdy ukryty w nich gość szukał nektaru.

Kiedy dostałam pierwszą pracę – zostałam sekretarką w Oksfordzie – miałam szansę poznać inny rejon Anglii. W każdy weekend wyruszałam na rowerze na wyprawę po okolicy, odkrywając nowe ścieżki i dróżki obsadzone żywopłotami, w tamtych cudownych czasach połowy lat pięćdziesiątych mieniącymi się od kwiatów. Zostawiałam rower i wędrowałam polami obok pasących się krów (lecz czujnie wypatrując byków), zawierając znajomości z trybulą leśną (po angielsku zwaną też koronką królowej Anny), lepnicą, przetacznikiem, firletką poszarpaną i różowawą, słodko pachnącą koniczyną, którą uwielbiały pszczoły, a także krowy i konie.

Czasem wieczorami pożyczalam na godzinę małą kanadyjkę i płynęłam cicho, mijając pałki wodne i kępy trzciny, a potem przybijałam dziobem do brzegu w miejscu, gdzie mogłam się ukryć w zielonej jaskini, którą tworzyły zwisające gałęzie wielkiej wierzby płaczącej, i obserwować kaczki krzyżówki. Pamiętam, że prześladowało mnie wtedy w denerwujący sposób kilka wersów z jednej z ulubionych książek mojego dzieciństwa – *O czym szumią wierzby*.

Hen, daleko w cichej wodzie.
 Kędy szumią trzciny,
 Tam kaczuszki się pluskają
 I ogonki zadzierają.

Ogon kaczki, ogon smoka,
 Żółte nóżki zamiast wiosła,
 Żółte dzióbki wciąż nurkują,
 Pilnie wodę przeszukują.¹

Mogłam dopłynąć tylko jakieś półtora kilometra w górę rzeki – po części dlatego, że stać mnie było tylko, by wypożyczyć kanadyjkę na godzinę, ale też dlatego, że na następny fragment rzeki panie nie miały wstępu. Zwano go Parson's Pleasure [Uciecha Pastora] i zarezerwowany był dla panów, którzy zapragnęli rekreacji w stro-

ju Adama. Niektóre dziewczęta godzinami czaiły się w gęstych krzakach, by zerknąć na pewne części męskiego ciała, podejrzewam też, że panowie doskonale wiedzieli o tych nieskromnych spojrzezeniach!

Matka przechowała nie tylko moje „Notatniki przyrodnika”, lecz także ocaliła jedyne trzy egzemplarze czasopisma „Aligator”, które prowadziłam mniej więcej w tym samym czasie, kiedy malowałam rosnące w okolicy kwiaty. Czasopismo powstało dla czterech członkiń Klubu Aligatora – należałam do niego ja, Judy oraz Sally i Susie, dwie nasze przyjaciółki, które przyjeżdżały do nas niemal w każde wakacje. Ja byłam najstarsza, więc rozstawiałam pozostałe dziewczęta po kątach, decydowałam, w co będziemy się bawić i co będziemy robić.

Sally (młodsza ode mnie o rok) i ja byłyśmy prawdziwymi chłopczycami. Sue i Judy – „Małe” (jedna trzy, druga cztery lata młodsza ode mnie) – wcale nie miały aż takiej ochoty łązić po drzewach i bawić się w Robin Hooda i jego wesołą kompanię. Ale dobrze nam było razem. A kiedy miałam jakieś jedenaście lat, założyłam Klub Aligatora. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego postanowiłam właśnie tak go nazwać.

To był klub miłośników przyrody. Obserwowałyśmy rośliny i zwierzęta, a potem pisałyśmy o nich historyjki w naszych notatnikach. Tak szczerze mówiąc, to ja się tym zajmowałam i starałam się, jak mogłam, przekonać do tego pozostałe dziewczynki. Jakoś to szło, kiedy byłyśmy wszystkie razem, ale kiedy Sue i Sally po wakacjach wracały do domu, już się nie udawało.

Założyłam więc czasopismo. Pisałam – ręcznie, bo wtedy nie było innej możliwości – artykuły na różne tematy i prosiłam innych, żeby dostarczali mi swoje teksty. Oczywiście pismo powstawało w jednym egzemplarzu, więc Sally i Sue musiały mi go zwrócić po przeczytaniu. W kolejnym numerze zadawałam pytania o artykuły, które zamieściłam w poprzednim. Członkinie klubu miały wkładać swoje odpowiedzi do „skrzynki na listy”, czyli ko-

perty przyklejonej na trzeciej stronie kartonowej okładki. Po trzech „numerach” zmęczyło mnie wydawanie tego magazynu, ponieważ nie udawało mi się namówić nikogo do współpracy i jedynie Judy odpowiadała na moje pytania, a i to tylko dlatego, że ją zmusiłam! To doświadczenie wiele mnie jednak nauczyło.

Być może właśnie moje doświadczenie z Klubem Aligatora pozwoliło mi doprowadzić do stworzenia czegoś, co obecnie stanowi organizację dla młodych ludzi, od przedszkola aż po uniwersytet, działającą w stu trzydziestu krajach – Jane Goodall’s Roots & Shoots. Klub Aligatora liczył tylko cztery członkinie. Roots & Shoots zachęca setki tysięcy dzieci i nastolatków do działania na rzecz tego, by nasz świat stał się lepszym miejscem dla wszystkich żywych istot.

Gdy patrzyłam na swoje notatniki, pełne starannie narysowanych i namalowanych roślin, i przeglądałam czasopismo, przechowane przez tak wiele lat, powróciły do mnie żywe wspomnienia magicznych czasów dzieciństwa. Przypomniałam sobie zimne, mokre zimowe dni, kiedy wieczorami czytałam, zwinięta przed kominkiem, a potem w wyobraźni wraz z Mary, Colinem i Dickiem wędrowałam do tajemniczego ogrodu. Oczarowała mnie *Perelandra* C.S. Lewisa, w której tak żywo opisuje on kwiaty i owoce, smaki, kolory i zapachy nieznanne na planecie Ziemi. Frunęłam przez niebo z małym Diamondem, skulonym w rozwianych włosach Pani Północnej Wichury, gdy pokazywała mu, co się dzieje na świecie, jego piękno, smutek i radości. I oczywiście darzyłam wielką miłością Kreta, Szczura Wodnego i Borsuka z *O czym szumią wierzby*. Gdyby *Władca pierścieni* istniał już, kiedy byłam dzieckiem, niewątpliwie zachwyciłby mnie Drzewiec i prastary las Fangorn i pokochałabym Lothlórien, zaczarowane lasy elfów.

Oczywiście w tym samym okresie czytałam coraz więcej o zwierzętach żyjących w dzikich miejscach. Bardzo się cieszę, że telewizja nie była w tamtych czasach rozpowszechnionym wynalazkiem, bo dzięki temu musiałam ćwiczyć i rozwijać wyobraźnię.

Te dwa światy mojego dzieciństwa – świat wyobraźni i świat przyrody – były, jak sądzę, równie ważne dla mojego rozwoju. Ale chociaż te wspomnienia są piękne i cenne, jest w nich także gorzyc. Od tamtych czasów większość pól, po których biegałam, sprzedano deweloperom. Te, które się ostały, zostały zniszczone przez pestycydy, nawozy, środki chwastobójcze i grzybobójcze, a żywopłoty ścięto, by uzyskać więcej miejsca pod uprawy. Z pól zniknęły dzikie kwiaty, a ptaków śpiewających, których głosy słyszałam jako dziecko, jest coraz mniej. Oczywiście zawsze trwała wojna między rolnikami a zwierzętami, które chciały się pożywić owocami ich trudu, strzelano do królików i gołębi, ale niszczenie dzikiej przyrody na masową skalę zaczęło się dopiero po drugiej wojnie światowej. Od tego czasu dziko rosnących kwiatów (a wraz z nimi wielu stworzeń) zaczęło ubywać, są miejsca, gdzie już zupełnie ich nie ma.

Podobnie dzieje się w wielu częściach świata. Zdrowie gleby stopniowo nadwerężano, a czasem zupełnie zniszczono. Obecnie całymi hektarami ciągną się pola uprawne, na których nic nie wyrośnie bez potężnych dawek nawozów sztucznych. A chemiczna trucizna zatruwa wody gruntowe, strumienie i rzeki, niosąc śmierć zwierzętom i roślinom. Lasy tropikalne i pierwotne puszcze, te magiczne miejsca, po których wędrowałam w wyobraźni, znikają w przerażającym tempie. To samo dzieje się z innymi rodzajami krajobrazu – lasami, mokradłami, preriami, stepami i wrzosowiskami. Na tej liście są wszystkie typy środowisk, jakie tylko występują na Ziemi.

Gdziekolwiek spojrzeć, świat przyrody z jego wielką różnorodnością istot żywych ugina się pod naporem przyrostu ludzkiej populacji, budownictwa, rolnictwa przemysłowego, zanieczyszczenia i kurczących się zasobów wody. Zanikanie siedlisk to wciąż powracający temat, zjawisko zmniejszające różnorodność biologiczną i powodujące, że w kolejnych miejscach wymierają lokalne gatunki. A na tym wszystkim kładzie się cień zmiany klimatu. Z biegunów południowego i północnego oraz ze szczytów gór znikają lody.

Lecz tutaj, w Bournemouth, niektóre rzeczy mało się zmieniły. Ogród w Brzozach nadal jest czarodziejskim miejscem zabaw dla dzieci – najpierw był nim dla Judy i dla mnie, potem dla naszych dzieci, a teraz bawią się w nim nasze wnuki. Judy przejęła rolę ogrodniczki, a pomaga jej córka Pip i nasz dobry przyjaciel Wayne Caswell. Teraz rośnie tu więcej gatunków kwiatów i warzyw – nawieźliśmy lepszej ziemi i wiele roślin uprawiamy w donicach. Mamy więc groszek pachnący i wilec, pelargonie, bratki i wiele innych roślin. Rosną pomiędzy grochem, pomidorami, szpinakiem, ziemniakami i cukinią. Jaskrawoczerwone kwiaty fasoli wielokwiatowej nadal rozświetlają ogród w szary dzień, a teraz są jeszcze błyszczące biało-czarne kwiaty bobu, tak egzotyczne jak białe włoski, które można zobaczyć, kiedy otworzy się strąk. Pod oknem kuchennym wciąż rośnie pietruszka Danny, a różowe kwiatki, którym wydała wojnę, nadal plenią się uparcie, choć już nie tak bujnie jak kiedyś. Moich ukochanych konwalii już prawie nie ma – kury, które uratowaliśmy z fermy przemysłowej, zachwycone swobodą grzebania w ogrodzie, wydziobały prawie wszystkie kłącza! W szklarni Olly nie brakuje ogórków i rozmaitych sadzonek czekających na wysadzenie do gruntu. Nadal są tu sosny, jodły i kasztany jadalne, ale nasze brzozy uschły podczas suszy panującej tu w latach 1975–1976, a ostatnie bardzo suche lato przetrwała tylko jedna z trzech brzóz, które zasadziliśmy na ich miejsce. Nooky został przycięty przez chirurga drzew – gałęzie wyrastające ze starego pnia stały się za duże i za ciężkie. Co zdumiewające, w efekcie po raz pierwszy dał nam obfity plon kasztanów – oczywiście maleńkich.

Okolica – ulice, klify, koryta strumieni – wygląda w dużej mierze tak samo jak w czasach mojego dzieciństwa. Dokonano pewnych zabiegów „pielęgnacyjnych” – roślinność na zboczach wąwozów została w niektórych miejscach przerzedzona, głównie dlatego, że dawała schronienie pijaczkom i narkomanom. Przycięto gałęzie, a niektóre drzewa ścięto, żeby jakaś gałąź nie spadła na przechodnia, który mógłby pozwać władze miejskie. Jednak cały teren jest pod

ochroną. Nikt nie może ściąć drzewa bez zgody władz, więc ogrody wciąż są zielone i bujne. Kiedy tu przyjeżdżam pomiędzy niekończącymi się cyklami wykładów, które wygłaszam na całym świecie, podczas moich codziennych wędrówek do ulubionych miejsc z dzieciństwa towarzyszy mi pies. Teraz akurat jest to Charlie, mieszanec boksera, przed nią był Astro, który nastąpił po Whiskey, przed którym była Cida – w Brzozach zawsze mieszkały psy.

Kiedy zastanawiam się nad swoim dzieciństwem i doświadczeniami, które ukształtowały moje myślenie, nie widzę nic dziwnego w tym, że napisałam tę książkę. Dziwne jest to, że początkowo planowałam napisać coś zupełnie innego – miał to być po prostu dodatek do *Hope for the Animals and Their World* [Nadzieja dla zwierząt i ich świata], do którego napisałam cały rozdział na temat królestwa roślin. Ale maszynopis *Hope for the Animals...* był za długi i niemal całą część o roślinach trzeba było wyrzucić. Było mi przykro z tego powodu – mnóstwo osób hojnie obdarowało mnie historiami o roślinach i ogromnie się cieszyło, że piszę o ich pracy. Postanowiłam więc napisać krótką książkę, po prostu trochę rozwiniąć ten pierwotny rozdział o roślinach. Miała być o gatunkach roślin ocalonych przed wyginięciem. Ale stało się inaczej.

To tak, jakby same rośliny chciały, żebym napisała inną książkę, i zapuściły delikatne korzonki głęboko w moim mózgu. Chciały, żebym w pełni doceniła ich znaczenie dla historii człowieka, ich zdumiewające właściwości lecznicze, wartość jako pożywienia i to, że mogą nas skrzywdzić, jeśli będziemy źle z nich korzystać. I wreszcie, bym zdała sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy od nich zależni. Rośliny pragnęły, żebym podzieliła się ze światem moim rozumieniem ich *istotowości*, tak by ludzie mogli je bardziej docenić jako ważnych współników w tak wielu swoich przedsięwzięciach.

Im dalej szłam za tymi podszeptami, im więcej otwierało się przede mną ścieżek, im częściej rozmawiałam z botanikami, specjalistami w dziedzinie ogrodnictwa i ekologami, tym bardziej



Dzieci wydają się szczególnie oczarowane królestwem roślin. Issac ma dwa latka i w przedszkolu wyhodował z cebulki narcyz – właśnie odkrył, że zakwitł. To zdjęcie, na którym udało się uchwycić jego zdumienie i zachwyty, żywo przypomina mi moje własne dziecięce doświadczanie cudów przyrody.

byłam zafascynowana i przerażona tym, jak krzywdzimy i niszczymy rośliny.

A zarazem wiele się dowiedziałam o staraniach, jakie podejmują ludzie na całym globie, by chronić i odtwarzać świat przyrody. O gatunkach roślin, które w ostatniej chwili ocalono przez wyginięciem i którym dano drugą szansę. O pracy ogrodów botanicznych, które pokazują milionom ludzi cudowny świat roślin i zarazem prowadzą pionierskie badania nad najlepszymi sposobami ochrony zagrożonych gatunków. O pasjonatach, którzy hodują lokalne rośliny w swoich ogrodach, tworząc ostoje dla dzikich zwierząt i owadów. O coraz liczniejszej grupie tych, którzy są gotowi walczyć o kwiaty i drzewa, trawiaste równiny i lasy. W tym wszystkim jest nadzieja.

I tak napisałam książkę, która ma pokazać, jak ogromny dług mamy wobec roślin, a zarazem jest hołdem dla ich piękna, tajemnic i złożoności ich świata. Byśmy mogli ten świat ocalić, zanim będzie za późno.



Jane Goodall wprowadziła nas kiedyś w skomplikowany i fascynujący świat szympansov. Pokazała nam ich prywatne życie przez dziurkę od klucza. Ta książka to jej bardzo osobista i znakomita opowieść o roślinach, najważniejszych organizmach na naszej planecie, bo od nich zaczyna się życie.

Adam Wajrak

Jane Goodall przygląda się naszej zależności od roślin jako pożywienia, lekarstw dla ciała i ducha. Mówi, jak można pomóc przy naprawianiu szkód, które wyrządziliśmy przyrodzie. Opowiada o skomplikowanych sposobach komunikacji wśród roślin i o tym, że pewne nasiona, uspięne przez tysiące lat, mogą wykiełkować. Pisze o partyzantce ogrodniczej, GMO, ginących gatunkach i o roślinach, które leczą, oraz o tych, które zabijają. Przedstawia także botaników i przyrodników, którzy czasem ryzykują życie, by ratować zagrożone rośliny i lasy.

Goodall daje nam nadzieję na przyszłość i opisuje sposoby, dzięki którym wszyscy możemy chronić i wspierać świat roślinny. Z perspektywy odkrywcy, naukowca, a zarazem kogoś duchowo zestrojonego z przyrodą, Jane Goodall przedstawia zdumiewającą i pouczającą opowieść o cudach królestwa roślin.

www.marginesy.com.pl



9 788364 700842

cena 49,90 zł



6 215